

## Kategoria 16 – 18 lat

I miejsce: Zofia Szmyd

Godło: SZUM

### **Legenda o Czarnym Młynie**

W niewielkiej wsi, Zdrzewnie, w cieniu stromych wierzb, stał młyn tak stary, że nikt nie pamiętał, kto pierwszy osadził jego kamienie. Z czasem nazwano go Czarnym Młynem, nie przez kolor drewna, lecz przez to, co w nim dojrzewało.

Gdy zdrzewnieński młyn był, tylko zwykłym młynem zamieszkiwał go mężczyzna obdarowany niezwykłą zdolnością – znał język budynku, który dawał mu schronienie i pracę. Młynarz Bogdan był człowiekiem zręcznym i bystrym. Rozumiał szum wiatru, słyszał, kiedy kamień trzeba podnieść by mąka była grubsza, a kiedy docisnąć, żeby ziarna zmielić drobniej. Ludzie powierzali mu zboże bez wahania, bo młyn był sercem wioski, a praca gospodarza przesadzała o tym, czy zima będzie syta, czy głodna.

Gdy nastały suche lata, Bogdan zaczął odkładać garść mąki z każdego worka. „To nic wielkiego” – powtarzał sobie. Garść stała się miarą. Miara stała się workiem. A worek, tajemnicą. Nikt nie zauważał różnicy, lecz w domach chleb był coraz mniejszy.

Wiatr widział i pamiętał. Pewnej bezksiężycowej nocy wiatr ucichł, jakby wstrzymał oddech. Skrzydła wiatraka zamarty, choć niebo było czyste. Bogdan wyszedł, by sprawdzić mechanizm. W ciszy usłyszał trzask drewna, jakby belki jęknęły pod niewidzialnym ciężarem... Wtedy usłyszał głos spod kamienia: ciężki, głęboki, jak tajemnica, którą skrywało jego sumienie. – To, co zabrałeś wspólnocie – oddasz.

Rankiem młyn stał nienaruszony, lecz Bogdana nie było. Od tej pory w Czarnym Młynie słychać nocą miarowe tarcie kamieni, choć nikt nie wsypuje ziarna. A gdy ktoś próbuje oszukać wagę, mąka czernieje w dłoniach.

Wieś zrozumiała zbyt późno, że zdrada nie zaczyna się od wielkiego czynu, lecz od usprawiedliwionej drobnostki. Czarny Młyn do dziś przypomina, że zaufanie jest jak kamień młyński – raz pękniętego nie da się złożyć bez śladu. A wiatr? zawsze pilnuje sprawiedliwości, nawet jeśli człowiek chce go oszukać.

## II miejsce: Aleksandra Pioch

### “Pieśń o bukowej alei”

Dawno temu, zanim przez tutejsze pola zaczęły biec asfaltowe drogi, a gęsty dym z kominów mieszał się z chmurami, w kaszubskiej wsi panowała cisza. Cisza, jakiej teraz już nie znamy. W dolinach osadzała się gęsta, ciężka mgła. Na cewickim wzgórzu słychać było tylko głucho bicie serca natury. Starzy ludzie do dziś powtarzają, że nie jest to zwykłe miejsce - że ta ziemia ma pamięć i próbuje nam wyjawiać historię, o której świat woli milczeć.

Przed trzystu laty, w chłodny wrześniowy poranek, całą wieś pokryła mleczna mgła. Ciszę przerwało drżenie ziemi, a w oddali słychać było stukot kopyt. Z każdym ich uderzeniem serca mieszkańców wioski były coraz szybciej, wyczuwając nadchodzące zagrożenie. Do Cewic zbliżały się obce wojska. Mieszkańcy wiedzieli, że nie mają gdzie uciec. Musieli stanąć ramię w ramię przeciwko nieprzyjacielowi. Do walki wzięli to, co mieli pod ręką: miecze, narzędzia, które wcześniej służyły do pracy na roli. Zdawali sobie sprawę z faktu, że wróg ma przewagę, ale też z tego, że muszą bronić swojej ziemi.

Bitwa wybuchła na wzgórzu przed wsią. Obrońcy nie chcieli dopuścić wroga do swoich domostw. Gdy pierwsze szeregi przeciwnika wyłoniły się zza zakrętu drogi, można było dostrzec ich imponujący i pełen grozy wygląd. Byli to z pewnością doświadczeni i bezlitośni wojownicy, o czym świadczyły liczne blizny na ich niezwykle surowych twarzach. W powietrzu unosił się dym, było słychać huki i rozpaczliwe krzyki. W oczach mieszkańców, płonęła desperacka odwaga. Walczyli o każdy metr trawy, o każdy oddech. Stal uderzała o stal, a konie rżały z przerażenia. W tamtej tragicznej chwili cały świat wydawał się zacieśniać tylko do tego jednego wzgórza.

Kiedy w końcu zapadła noc, nastąpiła cisza gorsza niż sam chaos walk. Pole bitwy wyglądało jak po wielkiej burzy - wielu obrońców zostało tam na zawsze, padając wprost w błoto, którego bronili do ostatka. Nie było wystawnych pogrzebów, marmurowych tablic ani wielkich pomników. Poległych pochowano po prostu tam, gdzie oddali ostatnie tchnienie, a padający deszcz obmył ziemię z krwi.

Wraz z nadejściem wiosny, kilka miesięcy później, wydarzył się jednak prawdziwy cud. W miejscu, w którym spoczęli żołnierze, z ziemi zaczęły wyrastać młode buki. Drzewka rosły szybko, wyniosłe i dostojnie, jakby chciały udowodnić, że śmierć nie jest końcem wszystkiego. Ich obecność była jak żywy pomnik, świadectwo tego, że nawet po najstraszniejszej tragedii życie potrafi znaleźć drogę.

Dziś te buki to prawdziwe olbrzymy, które tworzą potężną aleję. Przez korony tych drzew przebijają się promienie słońca, które przypominają, że bukowa aleja nie jest tylko drogą - ona żyje. Mieszkańcy Cewic mówią, że szum liści przypomina pieśń, która pilnuje, byśmy nigdy nie zapomnieli o tych, którzy polegli trzysta lat temu.

Ta historia uczy, że pamięć o odwadze nie ginie, ale zapuszcza korzenie i trwa przez wieki.

### III miejsce: Luiza Staszyńska

#### **Legenda o Rodzie Grumbków**

Dawno, dawno temu, gdy pomorskie ziemie należały jeszcze do Prus, w Komaszewie stał dumny pałac rodu von Grumbków. Był to ród bogaty, szanowany i surowy. W pałacu panował porządek jak w wojsku, a błękitne sztandary z herbem Grumbków powiewały nad wrotami jak symbol potęgi.

Ludzie z okolic szeptali, że w piwnicach pałacu płonie błękitny ogień, którego nie da się zgasić. Podobno zapalił go sam pierwszy z Grumbków – stary rycerz Friedrich, gdy wrócił z wojny i przysiągł, że jego ród nigdy nie zgaśnie. „Tak długo, jak płonie błękitny płomień, tak długo trwać będzie nasz dom” – miał powiedzieć i zamknął ogień w żelaznej lampie pod kamiennymi schodami.

Lata mijają. Wojny, zmiany granic, nowe czasy. Grumbkowie odchodzili jeden po drugim, aż w końcu w pałacu zapadła cisza. Po wojnie ziemia wróciła do Polski, a w dawnych salach zamieszkali zwykli ludzie. Nikt już nie pamiętał o błękitnym ogniu, o rycerskiej przysiędze ani o duchach, które podobno strzegły domu. Tylko czasem, nocą, ktoś słyszał w piwnicy stłumiony chrzęst zbroi, jakby ktoś schodził po schodach. A czasem – ryk koni, choć stajni już dawno nie było.

Pałac przetrwał długo, choć jego mury szeptały o dawnych czasach. W końcu powstały w nim mieszkania – ludzie śmiali się, śpiewali, żyli jak w każdym domu. Ale pewnej nocy, w roku 1978, wydarzyło się coś, czego nikt nie potrafił wytłumaczyć. Była trzecia nad ranem, gdy wieś obudził blask. Niebo nad Komaszewem zrobiło się jasne jak w dzień, lecz światło nie było złote ani czerwone – świeciło błękitnym ogniem. Ktoś zawołał: „Pałac się pali!”, i ludzie wybiegli z domów, patrząc na ogień tańczący po dachach. Świadkowie mówili potem, że pośród płomieni widzieli cienie koni i rycerzy, jakby duchy dawnych Grumbków wracały do swojego domu. Słychać było szcęk oręża i echo głosów, które niosły się po polach aż do świtu. Straż przyjechała, lecz było już za późno. Pałac płonął jak pochodnia, aż zapadł się w sobie. Rano, gdy dym opadł, w popiele znaleziono tylko kawałek żelaznej lampy – tej samej, o której opowiadała legenda.

Kilka lat później radni z Gminy Wicko kazali ruiny zburzyć.

Dziś na miejscu dawnego pałacu rośnie trawa, a na polu zostało tylko kilka fragmentów kafelków, które czasem błyszczą w słońcu jak tży po dawnych czasach. Ludzie mówią jednak, że pod ziemią wciąż istnieją piwnice Grumbków, nietknięte przez ogień ani czas. Podobno gdzieś na polu, między starymi jabłoniemi, znajduje się ukryte wejście – zamurowane, ale wyczuwalne, jeśli ktoś stanie tam o świcie, gdy ziemia paruje chłodem. Niektórzy twierdzą, że

w nocy słysząc stamtąd stukot kroków i ciche echo jakby zbroi. Inni – że to tylko wiatr. Ale starsi z Komaszewa powtarzają:

„Dopóki błękitny żar tli się pod ziemią, duch Grumbków czuwa w swoich piwnicach.”

A gdy nocą powieje wiatr, słysząc jeszcze ryk koni i krzyk dawnych rycerzy, których dom zniknął, lecz legenda pozostała.

### III miejsce: Dorota Suszko

#### **„Ostatni ogień w Parku Chrobrego”**

Dawno, dawno temu, w mieście zwanym Lęborkiem, w tajemniczym Parku Chrobrego, żyło sobie wiele stworzeń. Ale nie zwykłych - drzewa i liście tego miejsca były osaczone przez chochliki, kolorowe zające, potrafiące mówić sarny oraz wiele innych, jeszcze nieodkrytych przez człowieka istot.

Lecz to niezupełnie człowiek zapewnił tym zwierzętom bezpieczeństwo i dom...

Któregoś razu Wanda - urodziwa kobieta o niebanalnej urodzie - postanowiła wybrać się na spacer w głąb Parku. Chciała wziąć głęboki wdech i na moment oderwać się od problemów dnia codziennego. Co chwilę w listach od króla mogła przeczytać o nowych, okrutnych zasadach panujących w mieście. Jedną z najnowszych informacji było to, że jakakolwiek osoba dopuszczająca się magii i czarów miała zostać skazana na brutalną karę śmierci - spalenie na stosie lub egzekucję.

Wandę bardzo poruszył ten podpunkt, gdyż tak naprawdę była jedną z czarownic. Ukrywała się, bo wiedziała jakie konsekwencje mogą ją spotkać. Niestety, nie miała najbliższej rodziny ani przyjaciół; tak bardzo bała się zawierać jakiegokolwiek znajomości, ponieważ była świadoma, że także im może coś złego się przytrafić.

Kiedy tak wędrowała, dostrzegła niedaleko piękny dąb. Ruszyła w jego kierunku, po czym usadowiła się tuż przy nim na trawie i zaczęła płakać nad swoim losem.

- Dlaczego to akurat ja? Dlaczego? - nie mogła przestać rozpaczać na głos.

I wtedy Wanda usłyszała dziwny odgłos dobiegający z bliska. Nie pochodził on z ust człowieka, lecz... zwierzęcia.

- Czemu płaczesz?

Okazało się, że do Wandy przemówiła... sarna.

- To... to zwierzęta potrafią mówić?! - zapytała przestraszona.

- Och, nie wszystkie, ale moi najbliżsi przyjaciele - tak.

I wtedy w pobliżu pojawiło się ich więcej. Kolorowe zające, malutkie dziki, przepiękne zające wyłoniły się z krzaków, aby przyjrzeć się Wandzie z bliska.

- Dlaczego płakałaś? - zainteresowały się zające.

- To skomplikowana historia. Nie wiem, czy mnie zrozumiecie... W końcu jestem dla was po prostu nieznaną istotą.

- Ale widzimy, że można ci zaufać. To dostrzega się w oczach.

Wanda zaczęła swoją opowieść od listu, w którym było wspomniane o karze spowodowanej uprawianiem magii oraz czarów. Zwierzęta natychmiast domyśliły się wszystkiego.

- To znaczy, że jesteś... czarownicą?

- Tak, ale nie jestem zła. Zawsze rozpaczam nad losem zwierząt takich jak wy, bo wiem, jak ludzie was traktują. Tak samo nie używam magii, by uczynić coś złego. Korzystam z niej, by szerzyć dobro. Ale chyba król nie rozumie, że nie zawsze wszystkie zaklęcia prowadzą do okrutnych czynów.

- Masz absolutną rację - powiedziała sarna.

- Ale wiesz, jaki podpunkt tych zasad jeszcze jest najgorszy? - zapytał zając.

Wanda pokiwała głową. Przez ubolewanie nad swoim losem nawet nie skupiła się na tym, co jeszcze mogło być potworniejsze od tego.

- Nie tylko zginą ci, którzy dopuszczają się magii, lecz także ci, na których się tej magii dopuści, oraz wszystkie istoty magiczne, które król czy ktokolwiek z królestwa odnajdzie.

Wanda nie mogła powstrzymać krzyku. Była tak wściekła i przestraszona równocześnie. „Dlaczego taka okrutność ma także spotykać niewinne zwierzątka, które urodziły się magiczne?“, pomyślała.

Po chwili milczenia i rozpaczliwego patrzenia w pustkę, rzekła:

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by was uratować.

\*\*\*

I tak właśnie każdego dnia Wanda przychodziła do Parku Chrobrego, by odwiedzać magiczne zwierzęta i badać co się u nich dzieje. One też opiekowały się kobietą, dbały o jej dobre samopoczucie oraz pozwalały doszkalać swoje magiczne umiejętności na dziełach natury. Nawet raz udało się Wandzie zmienić zielonego liścia w różowego!

Kolejnego wieczoru, czarodziejka oraz zwierzęta usłyszeli kroki zbliżające się do nich.

- Uważajcie – szepnęła sarna. - Schowajcie się w krzakach.

I to uczynili, a kilka sekund później już byli w stanie zobaczyć postać, która zbliżyła się do Wandy. Była to piękna, blondwłosa kobieta w różowej sukni.

- Hej! Dlaczego jesteś sama w tym lesie? Nie boisz się dzikich stworzeń?

- Mogłabym zapytać cię o to samo - odparła Wanda. - Kim jesteś? Nie wyglądasz mi na zwykłą poddaną.

- No tak, zapomniałam się przedstawić... Masz rację. Jestem Lila, dla innych uroczycie córką króla, ale dla Ciebie mogę być po prostu Lilą.

- Dlaczego? Już mi zaufałaś?

Lila spojrzała się swoimi pięknymi błękitnymi oczami na twarz Wandy. Wyglądała na zdezorientowaną, po czym jakby się uspokoiła.

- Ach, prawie. Musisz tylko najpierw mi powiedzieć, dlaczego tu jesteś. Martwię się. Wyglądasz na osobę, która jest samotna.

Miała rację, lecz tylko do pewnego stopnia. Otóż czarodziejka darzyła uczuciem zwierzęta, które również kochały ją. Tylko, czy mogła o tym powiedzieć nowopoznanej, młodej kobiecie?

Po chwili namysłu, rzekła:

- Niedawno jeszcze byłam. Dzisiaj jednak jestem otoczona moimi przyjaciółmi.

- Co masz na myśli?

Wanda nie odpowiadała. Naprawdę jeszcze nie była w stanie stwierdzić, czy może wspomnieć Lilii o swoich przyjaciółkach. Była córką króla - być może popierała jego rządy i tylko czekała na moment, aby być świadkiem czegoś podejrzanego. Ale może jednak była inna?

Kiedy czarodziejka już miała się odezwać, sarna podeszła do kobiet.

- Ona jest dobra.

Lila wyglądała na zaskoczoną, że zwierzę do niej przemówiło. Na jej twarzy można było dojrzeć delikatne rumieńce.

Jedynym zdaniem, na którego wypowiedzenie mogła się zdobyć w tamtym momencie, było ciche: „Myślę, że się nie mylisz”.

W końcu po tym, Wanda opowiedziała Lilii swoją życiową opowieść, która wydawała się łączyć je dwie i nawzajem sobie zaufać.

\*\*\*

Dziewczyny każdego wieczoru spotykały się i spędzały czas na łonie natury, śmiejąc się i wymieniając przemyślenia na wiele tematów. Jednak parę dni później, Lila nie zjawiała się o godzinie dziewiętnastej, tak jak zwykle to robiła.

- Gdzie ona jest? - zapytał zając. - Nie powinna już tu być?

- Może przyjdzie chwilę później - odpowiedziała Wanda, uspokajając go, choć sama martwiąc się niemiłosiernie.

I nagle wtedy do Wandy podszedł mężczyzna, ubrany w długi, ciemny żupan, ciężki i prosty w kroju. Tkanina była szorstka, wetniana, w kolorze głębokiej czerni wpadającej w granat - jak noc, która pomału zapadała. Na ramiona narzucony miał płaszcz podszyty grubym lnem, spięty pod szyją metalową kłamrą, która błyszczała w świetle trzymanej przez niego pochodni.

Pas z grubej skóry opasywał jego biodra. U pasa wisiał krótki miecz - i właśnie to najbardziej zaniepokoiło Wandę.

- Musisz pójść ze mną - rzekł. - Natychmiast.

Po tych słowach, szybko związał ręce Wandy grubym sznurem. Niedaleko nich pojawili się kolejni mężczyźni, ubrani identycznie jak ten. Czarodziejka już przeczuwała, co ją czeka.

- Nie wolno uprawiać jakichkolwiek czarów ani magii! - krzyknął inny. - Musisz ponieść konsekwencje swoich czynów!

Wanda nawet nie próbowała uwolnić się od uścisku liny - wiedziała też, że nie ma szans z taką ilością mężczyzn, a tym bardziej, iż byli oni strażnikami króla i pełnili jego „święte” rozkazy.

Szepnęła tylko do zwierząt: „Schowajcie się!”

\*\*\*

Prowadzili ją powoli, przez aleję starych buków. Ogień pochodni nie dawał ciepła - tylko drżące światło, które tańczyło po jej twarzy jak płomyki świętojańskich robaczek. Szła bosą, a ziemia pod stopami była chłodna, jakby próbowała zatrzymać ją na chwilę dłużej.

W oddali dostrzegła Lilę. Chciała błagać ją o pomoc, lecz chwilę później powstrzymała ją intuicja. W głowie pojawiły się odpowiedzi. „To ona... To musiała być ona. Wydała mnie.”

Ciężko było uwierzyć, że to właśnie przyjaciółka ją zdradziła. Która zdobyła jej zaufanie...

- Oszczędźcie tylko zwierzęta - rzekła Wanda do strażników. - Proszę.

Po mimice twarzy była w stanie odgadnąć, że mężczyźni nie mieli takiego zamiaru - w końcu jej przyjaciele też byli „magiczni”.

Gdy dotarli na wzniesienie, wiatr nagle ucichł. Liście przestały szeleścić. Nawet nocne ptaki zamilkły, jakby park wstrzymał oddech. Uniósł głowę i spojrzała w niebo, gdzie pierwsze gwiazdy zapalały się cicho, jedna po drugiej. W ich chłodnym blasku nie wyglądała na słusznie skazaną, tylko na kobietę, która urodziła się po to, aby szerzyć dobro.

Na środku wzgórza czekała ułożona starannie konstrukcja z suchych pni i gałęzi. Drewno było jasne, świeżo ociosane, a jego ostre krawędzie odcinały się wyraźnie na tle granatowego nieba.

Wokół wbito w ziemię pochodnie. Ich płomienie drżały niespokojnie, jakby same nie były pewne swojej roli. Cienie wydłużały się i spletały pod nogami zgromadzonych, tworząc na ziemi ruchome wzory - niemal jak dawne znaki, których nikt już nie umiał odczytać.

I wtedy rozpoczął się proces.

Tuż przed śmiercią, Wanda była w stanie wypowiedzieć tylko jedno zaklęcie: „Zamieniam zwierzęta w kamienie. Nie doznają w ten sposób bólu ani cierpienia. A kiedy przyjdzie godzina, zazną smaku swego prawdziwego mienia.”

*I tak się stało. Wokół zgromadzonych pojawił się krąg głazów - do niedawna jeszcze ochoczych, teraz już jednak milczących przyjaciół Wandy...*

Na dowód tej legendy możemy do dzisiaj ujrzyć w Parku Chrobrego w Lęborku właśnie te głązy, które są symbolem przyjaźni pomiędzy człowiekiem a zwierzętami.

Wyróżnienie: Zuzanna Michalak

### Legenda o strażniczce rzeki

Dawno, bardzo dawno temu, gdy ziemie dzisiejszego Lęborka porastały gęste lasy, a między wzgórzami rozciągały się szerokie łąki i wita szeroka, wartko płynąca rzeka, ludzie nazywali te tereny Błękitną Krainą. Mawiano tak dlatego, że o świcie nad dolinami unosiła się lekka mgła niczym nimfa wodna czuwająca nad przyrodą, zaś wody okolicznych rzek i strumieni odbijały błękit nieba tak, iż całe okolice zdawały się spowite niebiańskim światłem. Przez sam środek tej krainy płynęła rzeka Łeba. Jej nurt był spokojny, a woda tak przejrzysta, że w słoneczne dni można było spostrzec na dnie małe kamienie i srebrne rybki. Wiekowi mieszkańcy mawiali, że rzeka nie jest zwyczajna. Według dawnych podań i legend miała swoje tajemnicze źródło. Ukryte ono było głęboko w lesie, z którego wypływała błękitna woda niosąca życie całej krainie. Na wzgórzu, gdzie dziś wznoszą się stare mury obronne niegdyś, istniała niewielka osada. Składała się z drewnianych chat krytych strzechą, warsztatów rzemieślników i małego targu, na który przybywali kupcy z odległych stron. Nad wszystkim górowała kamienna, dostojna budowla – potężny zamek krzyżacki, którego mury odbijały się w pobliskiej wodzie rzeki niczym w zwierciadle. Nieco dalej, przy głównej drodze prowadzącej do grodu, wznosiła się wysoka baszta – Baszta Bluszczowa. Była ona częścią dawnych umocnień i służyła strażnikom do obserwowania okolicznych pól i lasów oraz zbliżających się kupców czy niebezpiecznych zbójców. Z jej szczytu można było zobaczyć niemal całą Błękitną Krainę.

W tej osadzie żył młodzieniec o imieniu Boran. Był synem cieśli, który budował domy, mosty i bramy miejskie. Chłopiec od najmłodszych lat uczył się pracy z drewnem i kamieniem, lecz najbardziej lubił wędrować po wzgórzach i przesiadywać nad rzeką, wstuchując się w jej cichy szum.

Pewnego wieczoru, gdy słońce powoli chowało się za linią lasu, a niebo przybierało czerwone barwy, Boran usłyszał unoszący się nad wodą niezwykle śpiew. Był on tak delikatny, jakby niósł go sam wiatr. Wówczas Boran podszedł bliżej i ujrzał dziewczynę siedzącą na dużym kamieniu przy brzegu rzeki. Jej włosy lśniły niczym promienie słońca, a oczy miały lazurowy kolor wody. Zaskoczony Boran odezwał się nieśmiało:

Kim jesteś i skąd przybywasz?

Dziewczyna zaś spojrzała na niego ciekawie mówiąc:

– Jestem strażniczką tej rzeki i całej Błękitnej Krainy – odpowiedziała łagodnym głosem, zerkając na niezwykle urodziwego, nieznanego jej młodzieńca.

Ten dopytywał dalej:

– Dlaczego, więc nigdy wcześniej cię nie widziałem?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, trzepocząc długimi, czarnymi rękami, powiedziała:

– Bo tylko ci, którzy mają w sercu miłość do tej ziemi, mogą mnie dostrzec.

Usiedli nad brzegiem rzeki, a dziewczyna opowiedziała Boranowi wtedy starą historię przekazywaną od pokoleń.

Dawno temu, w głębi lasów, znajdowało się cudowne źródło. Z niego wyływała błękitna woda, która dawała rzece siłę i sprawiała, że ziemia była żyzna, a ludzie mogli spokojnie żyć i budować swoje domy.

– Dopóki źródło jest bezpieczne, Błękitna Kraina będzie trwała – mówiła strażniczka imieniem Żywia.

– A jeśli ktoś spróbuje je zniszczyć? – dopytywał Boran.

Dziewczyna opuściła głowę i spojrzała w stronę ciemniejącego lasu, dodała:

– Wtedy cała ta kraina może utracić swoją moc.

Mijały lata. Osada rosła, i do Błękitnej Krainy przybywało coraz więcej ludzi. Budowano nowe drogi i domy, powstawały liczne warsztaty. Aż tu pewnego dnia na horyzoncie pojawili się obcy wojownicy, którzy chcieli przejąć te ziemie. Lęk ogarnął mieszkańców, bo ich osada nie była przygotowana do obrony. Wtedy Boran przypomniał sobie słowa strażniczki. Zwołał mieszkańców, aby wspólnie wzmocnili obronność miasta. Ludzie zaczęli wznosić wysokie kamienne mury, budować wieże strażnicze i umacniać bramy. Tak powstały potężne mury obronne w Lęborku, a strażnicy czuwali na licznych basztach, w tym na tej najwyższej Baszcie Bluszczowej. Gdy obcy przybyli w pobliże miasta, ujrzeli potężne mury, czujnych strażników oraz rzekę lśniąca błękitnym blaskiem w świetle porannego słońca. Zrozumieli wtedy, że tej krainy nie zdołają pokonać.

Tej samej nocy Boran ponownie spotkał nad rzeką Żywią:

– Udało się obronić nasze miasto – powiedział z dumą.

Strażniczka skinęła głową.

– Bo ta ziemia ma w sobie siłę, a ludzie, którzy ją kochają, potrafią ją zawsze chronić.

Z biegiem lat mała osada zmieniła się w urokliwe i bezpieczne miasto – Lębork. Powstawały do dziś zadbane kamieniczki, wysokie kościoły i brukowane uliczki. Zamek oraz mury i baszty stały się symbolem odwagi i wytrwałości mieszkańców. A rzeka Łeba nadal płynie przez Błękitną Krainę tak czysta i spokojna jak dawniej.

Starsi mieszkańcy opowiadają, że gdy o świcie spojrzysz w jej spokojny nurt, można zobaczyć błękitny blask oraz cień dziewczyny stojącej na brzegu. To strażniczka rzeki, która wciąż pilnuje, aby Błękitna Kraina – ziemia lęborska pozostała pięknym i bezpiecznym miejscem dla wszystkich tych, którzy ją kochają.

Strzała

Wyróżnienie: Nadzieja Ruszczyk

**“Wodniki – draśnięcie czasoprzestrzeni,,**

Lato. Skwar był wręcz namacalny, słyszalny, jak piekąca się skóra. Bryza szumiącego Bałtyku wabiła do siebie, hipnotycznie powtarzającymi się uderzeniami o falochrony Łebskiego mola. Słońce niczym mityczna syrena wywabiła ludzi z chłodnych fortec wzdłuż deptaka i tylko starzy wyjadacze obserwowali je z dystansem, niczym nadciągający sztorm zimą, od którego owa pogoda wcale nie była mniej podstępna. Z dworu słysząc było piski dzieci, które skąpane w euforii, ciągnęły swoich rodziców w stronę morza niczym małe kompasiki. Dorośli nie protestowali, wpadając w letni trans zwany: “do pracy dopiero po weekendzie”, nie zwracając już nawet uwagi na kotłujących się turystów.

Tłoczna i banalna sceneria dla Henryka, który właśnie wybudził się ze snu zimowego przez budzik, w marcu. Nie miał zamiaru sprawdzać, który z kolei był to alarm. Przewalił się na drugi bok, do ściany, od której bił chłód podwórza. To był dobry moment, żeby mama zawołała go na dół na śniadanie, ale rodzice od dawna byli w pracy. Zwlókt się z łóżka, włożył okulary, poszperał w szafie i wreszcie wyciągnął rower z piwnicy, żeby szybciej dotrzeć do szkoły.

Nie przejechał nawet kilkunastu metrów, a już usłyszał, że nie jest sam. Obrócił się i machnął ręką do chłopaka jadącego za nim.

– A ty co, znowu chciałeś opuścić lekcje? – Uśmiechnął się i narzucił Henrykowi kaptur na głowę.

– Przecież już ledwo zdajesz przez te nieobecności.

– Zdam. – Odparł Henryk z nutą znudzenia, jakby takie zapewnienia słyszał już nie raz.

– No ja myślę – przyspieszył, wyprzedzając go. – Nie zostawiłbyś mnie samego!

Krzyknął i pojechał wzdłuż rzeki. Płynęła w przeciwnym do nich kierunku, w stronę morza, które niespełna kwadrans temu zakłócało spokój chłopaka. Nie znosił tłumów. Na szczęście do sezonu było jeszcze trochę czasu. Zmienił przerzutkę, która przeskoczyła gładko. Zerknął z satysfakcją na kierownicę błyszczącą po renowacji. Myśl o dłuższej wyprawie niż do mekana i z powrotem była kusząca. Im dłużej nad tym dumał, tym bardziej nabierał ochoty na przejażdżkę nad morze. Zaciągnął się świeżym, rześkim powietrzem, wsłuchując się w plusk wody, która u ujścia musiała przyjemnie szumieć, niezakłócona, łącząc się z wielkim morzem; tak, Bałtyk o tej porze miał swój urok.

Już chciał zawołać na przyjaciela, żeby ten zwolnił i dał namówić się na wypad zamiast kilku ostatnich lekcji, ale uprzedził go krzyk. Henryk zdążył jedynie skrócić kierownicą, żeby nie wjechać w chłopaka, ale mokra od rosy trawa sprawiła, że i tak stracił stabilność. Spadł z roweru i stoczył się w dół koryta rzecznego. Zdążył trochę wyhamować jedynie dzięki długiej trawie, za którą złapał zanim wpadł do rzeki. Szybko chwycił okulary, żeby nie wpadły do wody, choć i tak były już pokryte kropelkami.

– Nikodem! Zwariowałaś?! – Krzyknął, patrząc w górę. – Ciesz się, że rower tu nie spadł!

– Widziałeś to?! – Krzyknął, ześlizgując się do niego. Henryk skrzywił się, widząc, że przyjaciel nawet na niego nie patrzy.

– Niby co?! – Zaciśnął zęby, czując, jak lodowata woda opływa jego łydki, powodując gęsią skórę. To jeszcze bardziej go „zjadowało”. Miał ochotę znów zbesztać Nikodema, ale ten kucnął obok, a Henryk zrozumiał o co mu chodziło.

W wodzie stała rzeźba. Henrykowi na jej widok od razu zredła mina. Nie wyglądała, jak ozdoba wyrzucona z domu czy rupieciarni, a raczej coś czym można straszyć dzieci, i nie tylko. Wokół, pomimo rzeźkiego powietrza, nagle wszystko stężało. Przez pierwsze sekundy Henryk nie mógł poukładać myśli, a to za sprawą przebrzydłych wytłupionych oczu, świdrujących mu duszę. Chociaż stwór był ewidentnie martwy, wykonany z jakiegoś metalu naruszonego czasem, zdawał się ich obserwować. Siedział w wodzie zanurzony po nabrzmiałe nozdrza, jakby to oni byli intruzami, a nie on. Mimo, że poprzedniego dnia go tu nie było. Jego łeb przykryto jakąś brudną, niegdyś białą chustą, która zmoczona wyglądała jak szmata. Wyglądał, jakby chciał ukryć się przed nimi, za materiałem pełnym dziur.

– Co to może być? – Szepnął zaintrygowany Nikodem, na co Henryk tylko cofnął się od posągu, który, znajdując się w płynącej wodzie, zdawał się poruszać. Chłopak miał wrażenie, że tylko on ma ciarki. – Wygląda trochę, jak te żaby z fontanny na staromiejskiej. Tylko taki... no nie wiem...

– Obrzydliwy – prychnął pod nosem, podnosząc się wreszcie. Wziął postrzępiony materiał i rzucił na brzeg. – Śmieci. Kto przyniósłby tu takie paskudztwo? – Zbulwersował się, chcąc już tylko wrócić do domu.

– Ale nie możemy tego tak zostawić! – Zawołał, wychodząc z koryta za nim. – Nie ciekawi cię co to?

– Jasne, że nie. – Podniósł rower od razu po wyciśnięciu z dresów wody. – Jadę do domu.

– Czekaj – podbiegł i złapał go za rękę. Dopiero wtedy Henryk zauważył, że na zewnętrznej stronie dłoni ma draśnięcie. – Skaleczyłeś się. – Przyjrzał się bardziej. – Wygląda jak po pazurze...

– Weź nie świruj. – Wyrwał się. – Ty chyba jeszcze śpisz.

– Czemu nie wierzysz mi, że coś tu jest nie tak?

– Bo nie jest. Ktoś to tu wywalił, przykrył ścierą, a jedyne co tu jest nie tak, to moje mokre spodnie. – Wnerwiony wsiadł na rower. – Jakbyś wpadł do lodowatej wody też byś oprzytomniał.

– Obrócił się i odjechał w stronę domu. – Do później!

Henryk nie czekał na odpowiedź. Wisiał nad nim omen niskiej frekwencji, więc zignorował wszystko wokół, chcąc szybko się przebrać i pojechać do szkoły. Wrócił z powrotem na północ i dojechał do mieszkania. Wbiegł po schodach do swojego pokoju, ale kiedy tylko złapał za klamkę, po ręce rozszedł się ból. Jęknął, czując, jak pulsuje. Uczucie rozeszło się wzdłuż

ramienia, jakby chciało go dopaść, idąc jego własnymi żyłami. Usiadł na łóżku, a wtedy wszystko zaczęło się zlewać. Nie zamazywać czy odrealniać, wręcz przeciwnie, stało się zbyt realne. Wszystko wokół zaczęło cieknąć. Zatrzymał się myślami. "Nie, to zwidy, jestem niewyspany." Wmawiał sobie, mimo iż każdy zmysł temu zaprzeczał.

Widział przed oczyma, jak ściany, meble, sprzęt sportowy, zaczynają mieszać się na podłodze w błoto. Woda lejąca się zewsząd chlapała mu na dłoń i pochłaniała rzeczywistość, a w głowie słyszał jedynie szumiącą rzekę, dźwięk strumienia rozbijającego się o kamienie; niczym bęben, który odmierzał sekundy. Ale do czego?

Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. W wodzie znajdował się już po kostki, a co gorsza, przestał czuć grunt. Sięgnął po telefon, ale było za późno. Wpadł pod wodę. Było lodowato, a mimo to zlany był potem. Nie czuł wody, w której się znajdował, ale między palcami przemykał mu piasek. Prąd rzucał nim raz po raz, ciągle w innym kierunku. Szybko spiął się w sobie i przy kolejnym skręcie rzeczny udało mu się wynurzyć głowę. Otworzył oczy szeroko, widząc znajomą okolicę. Wziął wdech, zanim fala znów go przykryła. W jednej rzeczy jego logiczny mózg go nie zwodził: płynął w złą stronę. Rzeka, która zawsze mijala się z nim celem, teraz ciągnęła go w przeciwnym dla siebie kierunku. W kierunku, w którym on zawsze jechał. Nie do morza.

W pewnej chwili szarpnęła nim, rzucając o twarde brzeg. Obolały wczuł się na trawę i zadart głowę do góry. Nerwowy oddech zatrzymał mu się w płucach, gdy ujrzął wielką murowaną budowlę, piętrzącą się nad nim. Znajome zabudowania wokół zniknęły, zastąpione polami, lasami i murem. Rzeka, którą płynął, zdawała się szersza. Leżał u stóp siedziby sądu w Lęborku, ale nie tej, którą znał i mijał w drodze do szkoły, tylko tej, której nie spodziewał się nigdy zobaczyć na własne oczy. To był Zamek Krzyżacki w Lauenburgu.

Zmarszczył brwi, znów czując pulsującą ranę na dłoni, ale wtedy z zamyślenia wyrwały go głosy. Był tam ktoś jeszcze. Ale co robił po zewnętrznej stronie średniowiecznych murów?

Dwoje ludzi, sądząc po ubiorze, zdecydowanie nie z tych czasów. Chociaż, w jakich czasach się teraz znajdował? Stali nad rzeką, której prąd dalej pędził w złą stronę. Henryk zaczął rozumieć, co się dzieje. Rzeka gnała coraz szybciej i szybciej, zachodzące słońce zaczęło się podnosić, a po chwili, zamarło. Zawisło nad horyzontem, i znów zaczęło zachodzić, a rzeka, jak na zawołanie, zawrzała i ciągnąc za sobą pianę, zmieniła bieg. Między uderzeniami fal usłyszał szloch kobiety, a zaraz po tym powietrze przeciął krzyk. Płacz dziecka. Henryk poderwał się z ziemi.

Nędznie ubrana kobieta wyciągnęła dzieciątko zawinięte w biały szal, którego widok wywołał u chłopaka zimny dreszcz. Materiał był zapewne częścią jej ubioru, bo był tak samo pognieciony i podarty jak jej suknia. Tak samo jak materiał na głowie tego tajemniczego posągu, który... zignorował. Ręce trzęsły mu się z nerwów, a woda znów dudniła w uszach, biła o kamienie jak dzwon ostateczny.

Mężczyzna stał w miejscu, a kobieta ruszyła w kierunku granicy lądu i wody, życia i śmierci. Henryk otworzył szerzej oczy.

– Stać! – Krzyknął. – Nie rób tego!

Żadnej reakcji.

– Zostaw to dziecko!

Zaczął biec w ich kierunku, ale oni go nie widzieli. Im szybciej biegł, tym bardziej miał wrażenie, że rzeczywistość oddalała go od kobiety. Ich miejsca jedynie płynęły obok siebie w czasoprzestrzeni.

Zatrzymał się. Rana na dłoni zaczęła w niewiarygodnym tempie się zrastać, ale to już nie ona bolała.

Jego nogi drżały tak samo jak kobiety. Ucałowała zawiniątko w płótnie, które lada moment miało stać się całunem. Kobieta zamknęła oczy. Jej palce zacisnęły się na materiale, jakby przez chwilę chciała zatrzymać wszystko, co jeszcze nie dla wszystkich się wydarzyło. Wiatr całkowicie ucichł, a za nim płacz dziecka. Wciąż patrzyła tam, gdzie nurt potknął jej ostatni promień słońca.

Henryk przymknął oczy. Czuł, jak tzy ciekną mu po policzkach. Były bardziej wiarygodne niż woda, która otuliła jego ciało. Rzeka nie okazała się spokojniejsza, ale w jej ruchach było coś innego, jakby lamentowała razem z matką. Nie miała wyboru, ani kobieta, ani rzeka. Chłopak nie walczył już o każdy oddech; walczył ze świadomością, co zrobił.

W odmętach dostrzegł postacie. Osiem osób, pływających wokół małego ciałka. Żadne z nich nie było żywe, jedyne dziewięte ciało było ledwie ciepłe. Ich blade twarze miały metaliczny odcień, a kończyny były zdeformowane od setek lat pływania w rzece. Niczym żabie nogi.

\*\*\*\*

– Henryk – usłyszał nad sobą ciepły głos. – Henryk, wstawaj. Musisz się napić.

Otworzył oczy. Jego mama siedziała na łóżku z kubkiem i termometrem. Rozejrzał się chaotycznie, był w swoim pokoju. Miał na sobie piżamę, której nie pamiętał żeby zakładał. Do głowy niemal natychmiast wróciły ostatnie wspomnienia, o ile można było je tak nazwać. Oczy zaszklily mu się momentalnie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przytulił swoją mamę. Codziennie było dla niego mijać ją w domu, a wreszcie zrozumiał... Niektórym po matce zostało jedynie ulotne ciepło. Pełne żalu uczucia, rozptywające się w powietrzu.

– Kocham cię... – Wszeptał, wtulając się w jej ramię. Była zaskoczona, a to zabolalo.

– Och już, już. Ja ciebie też. – Pogładziła go po plecach. – Nikodem dzwonił niedawno. Kiedy powiedziałam, że masz gorączkę, zaczął mnie przepraszać. To przez niego wpadłeś do wody...

Mówiła dalej, ale on znowu popłynął, tym razem przez przestwór swoich myśli, które kumulowały się w tamtym miejscu.

– No i trzeba będzie ci kupić nowe okulary.

– Słucham? – Wyrwał się z przemyśleń.

– Nie miałeś ich jak wróciłam. Wpadły ci do rzeki?

– Nie...

– Godzinę temu też tak mówiłeś, ale wtedy nie byłeś do końca przytomny.

– Godzinę... temu? – Spojrzał jej w oczy. Ona nie wiedziała. On sam nie wiedział co się stało. Pamiętał natomiast, że jakkolwiek źle by się nie czuł, okularów w rzece nie zostawił. Miał je nawet gdy... gdy... śnił? To nie mógł być sen, ale, przecież nie jawa.

Nie udało mu się nic ustalić, mimo że dzień za dniem medytował nad tym co się stało, zamiast oglądać mecz czy grać w gry dla umilenia kuracji. Tata przywiózł mu nowe okulary, ale i bez nich od dawna widział, że rana na dłoni zniknęła bez śladu. Wreszcie, gdy w weekend mógł wyjść z domu, wstał i poszedł przed siebie. Dokładnie wiedział co musi zrobić.

Stanął nad rzeką. Płynęła tak, jak wcześniej i na oko nie miała zamiaru igrać z czasem, a przynajmniej tak długo, jak się na nią patrzyło. W za dużych gumiakach wszedł do wody, a tam za trawami znalazł "go". Nie przerażał go już, jedynie wywoływał uścisk w klatce piersiowej. Ruszył w stronę, gdzie rzucił szal. Może i był podziurawiony i brudny, ale to jedyne co zostało mu po matce. Komu? Wodnikowi.

\*\*\*\*

Henryk owinął posąg szalem i kucnął obok. Im dłużej na niego patrzył, tym to wszystko zdawało się być bardziej realne.

Bestard, który nie miał wpływu na swoje pochodzenie, matka, której nie zostawili wyboru, i rzeka, której wiry pochłaniały życia, a fale śpiewały ostatnią kotysankę.

Wziął rower, zabrał go ze sobą i wywiózł na pola, gdzie owiniętego w catun wodnika pochował w ziemi. Gdy ostatnia kupka piasku opadła na grób, wstał i spojrzał na Nikodema, który dostał nakaz stać obok w ciszy.

– Nie chciałem pozwolić mu zmienić się w żabę. – Powiedział tak pewnie, że przyjaciel nie wiedział czy się śmiać czy płakać. Pokiwał jedynie głową.

– Tak jak pozostali?

Tym razem to Henryk pokiwał głową. Słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi. To był znak, że mogą wracać. Osiem postaci.

I jeszcze więcej tragedii. Wreszcie zrozumiał, starzy wyjadacze nie gapili się w jakiś nieistniejący punkt w morzu, to był wzrok pełen szacunku, utkwiony w oddali. Co jeśli oni znają jeszcze inne tajemnice morza...?

– Henryk. Chcę cię upewnić, nie myślę, że zwariowałeś. – Powiedział, uśmiechając się. Gdy to mówił stali już na swojej drodze. Dokładnie w miejscu, gdzie pierwszy raz spotkał wodnika. Henryk spojrzał w dół.

– Może zwariowałem. – Westchnął, widząc swoje oprawki, leżące w korycie rzeki. – A może nie.

Pseudonim: Brak